

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

<https://orcid.org/0000-0003-4952-9290>

Instytut Historii, Uniwersytet Opolski

Dziękując redakcji „Kwartalnika Historycznego” za zaproszenie do wzięcia udziału w ankiecie poświęconej próbie bilansu historiografii polskiej w ostatnim trzydziestoleciu, pragnę podzielić się swoim rozeznaniem w literaturze przedmiotu i uwagami wynikającymi z przemyśleń i lektur.

Ostatnie 30 lat polskiej historiografii wiąże się z zadziwiającym, niewyobrażalnym wcześniej przyspieszeniem procesu wydawania książek, a także dynamicznym, gwałtownym przyrostem wydawnictw oraz publikacji, w tym periodyków naukowych, popularnonaukowych, ale też pseudonaukowych. Gdy przypominę sobie, że w 1983 r. na druk pracy habilitacyjnej musiałem w Państwowym Wydawnictwie Naukowym w Warszawie czekać trzy lata (ciągły brak papieru, a później miesiącami trwające prace redakcyjne!), a na książkę profesorską o Cmentarzu Łyczakowskim (wydawaną we wrocławskim Ossolineum) — dwa lata (od 1986 do 1988), to można mówić o szoku, bo obecnie takie książki ukazałyby się w miesiąc po złożeniu w redakcji wydawnictwa. To jest ważny znak czasu ostatniego trzydziestolecia.

Druga ważna zmiana to wręcz niewiarygodny przyrost autorów książek i artykułów naukowych oraz ośrodków wydawniczych — począwszy od dużych, od dawna okrzepłych ośrodków akademickich (jak choćby Kraków, Warszawa czy Poznań) po nowe środowiska uniwersyteckie, które powstały po 1990 r. niemal w każdym województwie. Obok ośmiu polskich uniwersytetów bezprzymiotnikowych, które powołał do życia polski parlament w kończącym się trzydziestoleciu (ostatni w Kielcach), utworzono kilkaset uczelni, w których pracują historycy i politolodzy, w swoich uczelnianych oficynach wydający monografie historyczne, biografie, studia i artykuły naukowe.

Trzecia ważna zmiana to edytorstwo. Gdy przypominam sobie, w jakiej formie — wręcz powielaczowej, na niskiej jakości papierze — wydawano (kolegów i moje) artykuły w „Zeszytach Naukowych WSP w Opolu” (od 1994 r. Uniwersytet Opolski), to nie chce się wierzyć, że było to tak niedawno. Dziś to wydawnictwo ma do dyspozycji znakomitej jakości papier

i nowoczesne maszyny drukarskie. I tak się stało we wszystkich ośrodkach uniwersyteckich w Polsce.

I to są niewątpliwe osiągnięcia ostatniego trzydziestolecia.

Ale dalej zaczynają się już schody. Gwałtowny przyrost wydawnictw i uczelni akademickich w Polsce spowodował nieprawdopodobne zwiększenie liczby historyków piszących i robiących tzw. kariery naukowe. W Polsce jest obecnie kilka tysięcy historyków z tytułem doktora habilitowanego. Porównajmy to choćby z początkiem XX w., gdy np. na Uniwersytecie Lwowskim, który przodował w produkcji historiograficznej, było ich kilkunastu. W okresie międzywojennym na głównych uniwersytetach polskich — Warszawskim, Lwowskim, Krakowskim czy Wileńskim — było po ok. 3–6 tys. studentów, dziś natomiast na samym Uniwersytecie Warszawskim studiuje ok. 50 tys. (a było ich więcej), nawet na moim, młodym Uniwersytecie Opolskim w 2001 r. podjęło naukę 22 tys. studentów, a w tym czasie na 12 państwowych uczelniach Wrocławia było ich ponad ćwierć miliona. W tej sytuacji musiała nastąpić dewaluacja i deprecjacja tytułów naukowych i poziomu prac, tym bardziej że zaczęła zanikać poważna krytyka naukowa, przestało opłacać się pisać wnikliwe, erudycyjne i krytyczne recenzje naukowe, bo autorzy — poza narażeniem się na nieprzyjemności i wrogość źle ocenianych — nie otrzymywali z tego tytułu odpowiedniej gratyfikacji finansowej. Pamiętam, że za artykuł do *Polskiego słownika biograficznego* o prof. Jerzym Słupcekim (co prawda był krótki, ale opatrzone wieloma przypisami), nad którym pracowałem z przerwami prawie miesiąc (szukając odpowiednich archiwaliów), dostałem 42 zł. A gdy przyjechałem na posiedzenie Rady Naukowej PSB, okazało się, że za parking na ulicy Sławkowskiej musiałem zapłacić 50 zł. O tym też trzeba mówić. Na naszych oczach umiera PSB — całe środowisko polskich humanistów powinno spieszyć słownikowi na ratunek i krzyczeć głośno: nie niszczyć PSB, tej narodowej księgi pamięci. Zbliżamy się bowiem do krytycznego momentu, gdy PSB może być zamknięte, tak jak to się stało w czasach stalinowskich, gdy jego działalność zawieszono ze względów politycznych.

Kolejny problem wiąże się z zanikiem w ostatnich latach poważnej krytyki naukowej, takiej „bez taryfy ulgowej” — jaką kiedyś uprawiali choćby Artur Sandauer czy krytyk filmowy Zygmunt Kałużyński — a co za tym idzie z zanikaniem selekcji i odsiewu prac nijakich, źle zredagowanych, bełkotliwych i pseudonaukowych. W periodykach naukowych i popularnonaukowych zaczynają zanikać recenzje bądź zastępują je recenzje płytkie, zdawkowe, sprawozdawcze, koleżeńskie. Sprzyja to przekonaniu autorów publikacji, że można napisać wszystko — „hulaj dusza, piekła nie ma” — bez obawy kompromitacji i ośmieszenia oraz

bez konsekwencji dla awansu naukowego, z przeświadczeniem, że można pisać „bełty” naukowe, uprawiać swoistą *fake history* i jeszcze otrzymywać za takie „dzieła” tytuły naukowe. Zjawisko to wystąpiło wyraźnie w tym trzydziestoleciu.

Ponadto zanikły w publicystyce historycznej wielkie debaty, takie jak choćby w PRL-u wokół ekranizacji *Popiołów* Stefana Żeromskiego (w reżyserii Andrzeja Wajdy) czy też wokół książki Zbigniewa Załuskiego *Siedem polskich grzechów głównych*. W dyskusji, która trwała wówczas prawie dwa lata, wzięło udział ponad 50 wybitnych wówczas polskich publicystów i znakomitych, o dużym autorytecie, zawodowych historyków reprezentujących najważniejsze polskie uniwersytety. Debata ta toczyła się również na falach radiowych i w klubach dyskusyjnych.

Wracając do sprawy ogromnej liczby publikacji o treściach historycznych (powstających w kilkudziesięciu ośrodkach i środowiskach), której ze względu na niskie nakłady i brak dostatecznej informacji bibliograficznej nie sposób ogarnąć, a nawet jej policzyć (do księgarni dziennie trafia około 10 nowych książek, czyli rocznie ponad 3 tys.), trudno się zorientować, kto wśród piszących historyków jest „wróblem”, a kto „kanarkiem”. Tym bardziej że wielu utytułowanych pracowników naukowych, w tym profesorów, pisze ciągle „kolejne doktoraty”: prace wąskotematyczne, poprawne warsztatowo, ale niszowe, obudowane dla zasady do irracjonalnych rozmiarów przypisami, częstokroć jednej proveniencji. Objawiły się więc setki autorów, w tym również z tytułami profesorskimi, niezdolnych do syntezy, unikających interdyscyplinarności, piszących monotematycznie, stroniących od uprawiania płodozmianu.

W tym kontekście pragnę podać przykład pracownika ważnego polskiego uniwersytetu, którego nazwiska nie chcę wymieniać, gdyż nie piszę tu recenzji konkretnego dzieła, a chcę na tym przykładzie uwypuklić zjawisko. Otóż jego ostatnio wydana książka, licząca ponad 500 stron drobnego druku, nosi tytuł *Historiografia i historycy w PRL-u. Szkice*. Problem i tytuł kapitalny. Ale co się okazuje? Zawartość tej książki niewiele ma wspólnego z tytułem, bo w rzeczywistości jest to książka lustracyjna, nie mówiąca o stanie historiografii w PRL: jaki dorobek wówczas powstał, jakie są ważne dzieła z tego okresu i czy w ogóle jakiegokolwiek są. Niezwykle skromne są informacje o tym, co który historyk napisał, jakie ważne dzieła po sobie pozostawił. Są natomiast informacje, który historyk był donosicielem, kto „wysługiwał” się reżimowi komunistycznemu i na kogo donosił, ile razy to zrobił, kto komu zaszkodził, kto z inwigilowanych historyków szybko ulegał, a kto się opierał, jak długo to czynił itp. Po lekturze tej książki ma się wrażenie, że historiografia polska w czasach PRL-u i jej twórcy to dzieje donosicieli i aparatu inwigilacji

oraz ich ofiar. A opisani są tam tak ważni historycy, jak choćby Aleksander Gieysztor czy Andrzej Garlicki. W bibliografii autor zamieścił wykaz 28 swoich artykułów, opartych na źródłach monotematycznych, głównie proveniencji ubeckiej. Artykuły te powstawały na przestrzeni prawie 20 lat i w oparciu o te artykuły (monotematyczne!) ich autor doszedł na poważnym uniwersytecie do znaczącej pozycji naukowej.

Po przeczytaniu tej monografii czytelnik może poczuć się — najdelikatniej mówiąc — nieswojo i zwątpić w autorytety elitarnego bądź co bądź świata polskiej humanistyki i wartość tworzonych w nim dzieł. I tak mogło poczuć się środowisko historyków warszawskich, bo o nim w tym wypadku jest mowa. Mam tylko nadzieję, że w przyszłości nie powstaną takie prace o środowiskach krakowskim, poznańskim, wrocławskim czy lubelskim. A może już nawet są, ale w lawinie produkcji, o której pisałem, mogłem ich nie dostrzec.

Monografię, której przykład przywołałem, zrecenzował pozytywnie na łamach „Nowych Książek” — ważnego pisma opiniotwórczego — uniwersytecki kolega autora, mający tylko drobne uwagi pod adresem redaktorów tej książki. Jest to przykład recenzji sprawozdawczej i koleżeńskej, których szczególnie w ostatnim dziesięcioleciu jest wyjątkowo dużo.

Jako historyk od 25 lat pracujący nad próbą syntezy dziejów 200 kresowych miejscowości, które państwo polskie utraciło w wyniku układu jałtańskiego (dotychczas ukazało się 16 tomów), korzystałem z obszernej literatury historycznej. W sumie kilka tysięcy książek, które przejrzałem, które mnie inspirowały, które cytowałem. Były to i są prace o szerokim zakresie chronologicznym — od prac mediewistów, poprzez prace nowożytników, po historyków dziejów najnowszych. Daje mi to dość szeroką perspektywę spojrzenia na ostatnie trzydziestolecie historiografii polskiej.

Jeśli chodzi o dorobek mediewistów, niewiele się zmieniło w stosunku do historiografii powstałej w okresie PRL-u. Nadal w różnych ośrodkach naukowych powstają solidne, w pełni wiarygodne prace monograficzne bądź przyczynkarskie. Podobnie jest wśród nowożytników, chociaż tam pojawiają się nowe wątki weryfikacyjne i interpretacyjne związane z nową polityką historyczną w III Rzeczypospolitej, zwłaszcza jeśli chodzi o rolę mniejszości narodowościowych oraz początki ruchu ludowego i robotniczego.

Natomiast ogromne zmiany nastąpiły w opisach i interpretacjach ostatniego stulecia dziejów Polski. Dotyczy to przede wszystkim historii II RP i dziejów PRL-u. Tu nastąpił gwałtowny przechył w drugą stronę. W poważnych pracach naukowych pojawiła się jeśli nie gloryfikacja, to zadziwiająca wyrozumiałość w ocenie dziejów II RP, a szczególnie obozu piłsudczykowskiego oraz totalna krytyka PRL-u. Jest przynajmniej kilku

czy nawet kilkunastu prominentnych profesorów uniwersyteckich, ciągle obecnych w mediach (więc nie muszę ich tu wymieniać), dla których władze PRL-u nie miały żadnych zasług — wszystko było tam, jeśli nie zbrodnicze, to groteskowe (jak w okrzykniętych arcydziełami filmach Stanisława Barei), a przywódcy tego państwa — poza wysługiwaniem się Kremlowi — nic dobrego nie uczynili. Oprócz profesorów z cenzurem uniwersyteckim takie poglądy reprezentuje jeszcze kilka kompanii wśród młodego, doktorskiego narybku. Jeśli się na takie praktyki godzimy, to wchodzimy w świat orwellowski, w którym przeszłość może być w każdej chwili zmieniana na użytek współczesnej polityki. Na cokołach „dawnych” bohaterów będą stawiani „nowi”.

Podobne zjawisko w polskiej historiografii występowało już w czasach stalinowskich (1948–1955), gdy „uczni” z tytułami profesorskimi pisali, że „lepiej było Polakom w czasach zaborów niż w tej faszystowskiej, burżuazyjno-obszarniczej Polsce pod dyktaturą Piłsudskiego”. Dziś już nikt nie pamięta nazwisk tych profesorów, a ich teksty nadają się do kabaretu.

Na pytanie, czy możliwa jest jedna historiografia dość powszechnie akceptowana, czy też może być ich kilka, wypada stwierdzić, że zjawisko dwóch rywalizujących z sobą historiografii w formie karykaturalnej wystąpiło już w końcowej fazie PRL-u. Z jednej strony była oficjalna historiografia, oceniana, a z drugiej — prace historyczne powstałe na emigracji bądź w kraju poza zasięgiem peerelowskiej cenzury (dotowane często przez ośrodki zagraniczne), które się wzajemnie totalnie negowały, zwalczały i ośmieszały. Dobitny wyraz znalazło to w pierwszych latach istnienia III RP (lata dziewięćdziesiąte XX w.). Rywalizowały wówczas ze sobą w edukacji również uniwersyteckiej dwie syntezy dziejów PRL-u autorstwa profesorów — Antoniego Czubińskiego i Wojciecha Roszkowskiego. Syntezy te dzieliła przepaść. Ci politycy, działacze społeczni czy publicyści, którzy w dziele Czubińskiego kreśleni byli w jasnych barwach, u Roszkowskiego malowani byli ciemną. I odwrotnie. Gdyby przybysz z innej planety przeczytał te prace, byłby przekonany, że opisywane są w nich diametralnie różne społeczeństwa, dla jednego bowiem profesora ważny był list do władz podpisany przez kilkuset intelektualistów i pisarzy, dla drugiego list 34 opozycjonistów.

Można więc tworzyć historiografie partyjne, bo zawsze byli i będą historycy o bardzo wyraźnych przekonaniach politycznych, a częstokroć zwyczajnie historycy dworscy. Ale wierzę, że polskich intelektualistów, humanistów, a zwłaszcza historyków stać na stworzenie syntezy historii najnowszej o dużych walorach obiektywizmu i jednej — akceptowanej dość powszechnie — historiografii. Trzeba walczyć o to, co jest

solą historiografii: że historykowi nie wolno być adwokatem broniącym bezwarunkowo opisywanej postaci czy sprawy, ani prokuratorem — oskarżającym. Historyk powinien być sędzią, który słucha i adwokata, i prokuratora, i waży czyny, zarzuty, pomówienia, domniemania, opinie i donosy. A profesor powinien wiedzieć, że tytuł, który posiada, zobowiązuje do wypowiedzi godnych.

Niewątpliwym dorobkiem historiografii ostatniego trzydziestolecia jest imponujący rozwój biografistyki. Można rzec, że nastąpił wręcz niezwykły renesans tej gałęzi historiografii. Po czasach peerelowskich, gdy historia była mocno odpersonifikowana, powstały setki solidnie udokumentowanych prac biograficznych o bardzo mocnych wątkach osobistych, czasem popadających w tym w pewną przesadę (z obscenicznym penetrowaniem sfery intymnej). W tym trzydziestoleciu wydano też wiele dzienników i pamiętników ważnych postaci, opracowanych bardzo fachowo — opatrzonych erudycyjnymi przypisami.

Wydano tomy korespondencji, m.in. między profesorami Henrykiem Wereszyckim i Stefanem Kieniewiczem, czy też intelektualistów związanych z kręgiem „Kultury” paryskiej. Wydawnictwa te mają również precyzyjne przypisy. Publikacjom tym towarzyszyły obszerne wywiady (tzw. wywiady rzeki) z politykami, intelektualistami, artystami, uczonymi, w tym z historykami. Są to często fundamentalne materiały, na których będą bazować historycy, którzy nie tylko preferują źródła archiwalne. Na bazie tych materiałów powstało już wiele bardzo wartościowych biografii, szczególnie o politykach, generałach i artystach II RP.

Gorzej z biografiami polityków PRL-u (zwłaszcza w związku z ideologicznym przechylem wspomnianym wyżej). W tym zakresie w biografistyce związanej z postaciami z czasów Polski Ludowej występuje przewaga prac tendencyjnych — pamfletów, a nawet paszkwilów. Przykładowo: jeden z biografów Zygmunta Berlinga już w tytule swojej monografii wyraził, co myśli o tej postaci, umieszczając informację, iż jest to biografia renegata. Ale jest też wiele biografii pisanych przez publicystów i dziennikarzy, które w dużym stopniu spełniają rygory obiektywizmu naukowego i napisane są sprawnie pod względem literackim, jak choćby biografia Ryszarda Kapuścińskiego autorstwa Artura Domosławskiego, kilka biografii napisanych przez wrocławskiego publicystę Mariusza Urbanka (o Władysławie Broniewskim, Bolesławie Wieniawie-Długoszowskim, Leopoldzie Tyrmandzie czy Jerzym Waldorffie). Powstało też kilka bardzo interesujących biografii porównawczych, jak choćby Emila Pasierskiego *Miłosz i Putrament. Żywoty równoległe*.

Sprymitywizował się natomiast polski film historyczny. Bo jak porównać choćby *Śmierć prezydenta* Jerzego Kawalerowicza, *Królową Bonę*

Janusza Majewskiego czy *Najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy* Jerzego Sztwiertni z serialami o młodym Piłsudskim, o Legionach, o wojnie polsko-bolszewickiej czy z *Koroną królów*. Nie ten poziom scenariusza, nie ten poziom aktorstwa, żenujące scenografie i kostiumy.

Ostatnie trzydziestolecie historiografii polskiej przyniosło ważny dorobek wiążący się z dziejami polskich Kresów Wschodnich. W PRL-u był to temat tabu, nastąpiło więc odreagowanie. Daniel Beauvois stwierdził nawet, że w Polsce nastąpiła wręcz kresomania. Po transformacji politycznej i usunięciu cenzury pojawiły się ważne prace o nekropoliach kresowych: lwowskich, wileńskich, grodzieńskich, podolskich i wołyńskich, o wojnie polsko-bolszewickiej, o walkach o granice wschodnie i ich utrzymanie, o roli osadników wojskowych na Kresach. Powstało wiele wartościowych monografii o miastach kresowych: o Lwowie, Wilnie, Stanisławowie, Krzemieńcu, Grodnie czy Pińsku. Narosła świadomość, że bez historii Kresów i tego, co zostało tam stworzone przez Polaków, nie może być pełnej historii Polski.

Fenomenem ostatniego trzydziestolecia jest niewątpliwie ogromna produkcja historyków amatorów, piszących o Kresach nostalgicznie i wydających swoiste samizdaty w nikłych nakładach (50–100 egzemplarzy). W swoich zbiorach mam takich pozycji około tysiąca. Jest tam wiele grafomanii, ale wśród tych prac są absolutne perełki — świetnie udokumentowane, zilustrowane fotografiami i dokumentami rodzinnymi, obudowane wspomnieniami członków rodzin. Jest to również ważna baza źródłowa, której nie powinni pomijać zawodowi historycy.

W minionym trzydziestoleciu powstało wiele periodyków ukazujących się nieprzerwanie, takich jak choćby „Cracovia Leopolis”, „Semper Fidelis”, „Biuletyn Ziemi Drohobyckiej”, „Z Nurtem Stryja”, „Zeszyty Tłumackie”, „Życie Krzemienieckie”, „Gdzie szum Prutu...”, „Spotkania Świrzan”, „Wołanie z Wołynia” itp. Niektóre z tych periodyków liczą już ponad 150 zeszytów. Jest to materiał nierówny, wymagający przy wykorzystaniu dużego krytycyzmu, ale zarazem nieprawdopodobnie bogaty i ratujący od zapomnienia tysiące biografii i fascynujących wydarzeń. Wśród publikujących w tych periodykach są ludzie różnych zawodów, ale przez samokształcenie, dociekliwość, kult faktów niektórzy z nich osiągnęli wysoki stopień profesjonalizmu i wiarygodności jako historycy amatorzy. Należą do nich niewątpliwie Ewa i Władysław Siemaszkowie, Jerzy Pilecki (znakomity znawca dziejów Drohobycza), Tadeusz Kukiz (autor świetnej monografii o Ziemi Radziechowskiej i wielotomowego cyklu *Madonny Kresowe*), Józef Wyspiański (monografista Ziemi Przemysłańskiej), Grzegorz Rąkowski (autor wielotomowej swoistej encyklopedii Kresów), który przemierzył te ziemie wzdłuż i wszerz ze swoim

magnetofonem i aparatem fotograficznym. Długo mógłbym wymieniać tych amatorów dziejopisów, którzy niewątpliwie w swoisty sposób wzbogacili historiografię polską ostatniego trzydziestolecia i częstokroć wypełnili białe plamy, na które nie zwrócili uwagi zawodowi historycy z ważnych ośrodków uniwersyteckich.

Wśród setek uczonych tworzących polską historiografię w ostatnim trzydziestoleciu ujawniło się wiele znaczących indywidualności, które mogą liczyć na poczesne miejsce w polskiej historiografii. W moim przekonaniu do tego grona należy zaliczyć: Jerzego Besalę, Andrzeja Chwałbę, Antoniego Dudka, Jerzego Eislera, Andrzeja Friszkego, Rafała Habielskiego, Marka Kornata, Marcelęgo Kosmana, Grzegorza Motykę, Andrzeja Nowaka, Andrzeja Paczkowskiego, Wojciecha Roszkowskiego, Tomasza Szarotę i Rafała Wnuka.